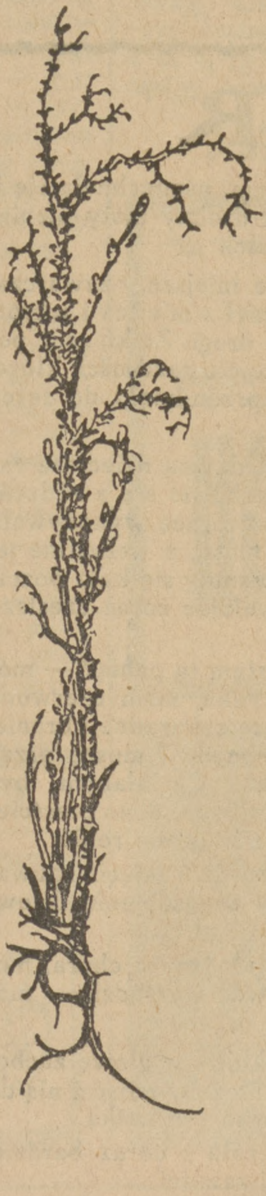
NR. 8 SOBOTA, 19 KWIETNIA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

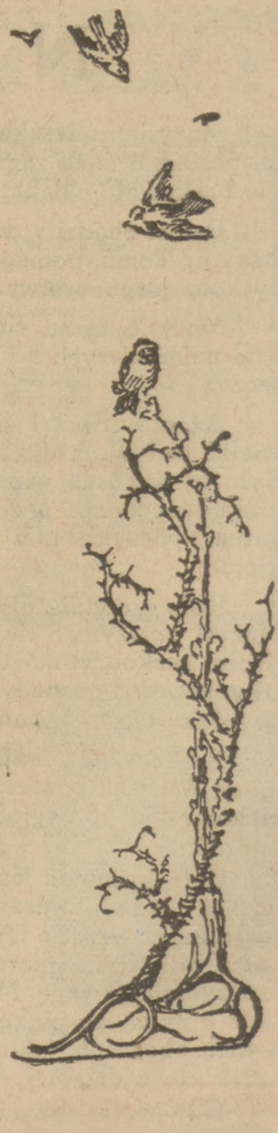
Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



WIOSNA

Już przyszła do nas, świeża, radosna,
Ta upragniona przez wszystkich wiosna.
Budzi z uśpienia drzewa i zioła,
Do pracy wzywa mieszkańców sioła.
Roztacza wszędzie jasność, wesele,
W serca zaś wnosi nadziei wiele.
W białozieloną swą szatę strojna
Odradza wszystko miła, spokojna.
Co rok nam daje nadzieję nową,
Co rok witamy ją taką mową:
„Daj lepsze jutro, miłe, spokojne,
Daj ludzkim sercom dary dostojne!
A gdy już spełnisz zadanie swoje
Dla nowej pory otwórz podwoje!"

Sława.



DO DZIECI

Z powodu Świąt Wielkanocnych „Przyjaciel Dzieci“ przesyła wszystkim swych małym czytelniczkom i czytelnikom najserdeczniejsze życzenia, by spędzili je zdrowo i wesoło.

Zanim nadejdą duże wakacje i przyniosą wam dłuższy odpoczynek, korzystajcie, drogie dzieci, z tej krótkiej przerwy i wyzyskajcie każdy promyczek wiosennego słońca.

Grzejcie się w jego cieple, radujcie blaskiem i starajcie się je naśladować i tak jak słońce dla wszystkich jednakowe ma blaski, tak i wy, sercem swem ogarnijcie świat cały i niech wszystkie dzieci ziemi bez różnicy rasy, narodowości i wyznania będą wam braćmi.

REDAKCJA.

NENUFAR

Marysia mieszkała na wsi. Rodzice jej posiadali dużą zagrodę, w której nigdy nie brakowało chleba.

Dzieci chodziły do szkoły, a powróciwszy do domu, pomagały rodzicom w pracy koło gospodarstwa.

Marysia czuła się bardzo szczęśliwą i od najmłodszych lat starała się być użyteczną.

Aż oto zdarzył się wypadek, mający wielki wpływ na dalsze losy dziewczynki. Było to wczesną wiosną: śniegi już stopniały, lecz ziemia pozostawała szara i wilgotna w oczekiwaniu na nową zieloną sukienkę.

Koło południa przed domem rodziców Marysi zatrzymał się piękny samochód. Szofer zeskoczył na ziemię i, wszedłszy do izby, poprosił gospodynię o trochę świeżego mleka dla swej pani.

Podczas gdy matka udała się do komory, Marysia pozostała przed domem i z ciekawością przyglądała się nieznajomej podróżnej.

Była to młoda jeszcze kobieta o delikatnej i ładnej twarzy, ubrana we wspaniałe futro. Drobne jej ręce, o długich palcach, pokrytych pierścieniami, przykuły szczególniej uwagę Marysi; małe nogi obute były w tak piękne trzewiczki na wysokich obcasach, jakich Marysia nigdy jeszcze nie widziała.

Gdy szofer przyniósł pani kubek mleka, wypiła je duszkiem, uśmiechnęła się i, podawszy gospodyni drobny złoty pieniążek, kazała jechać dalej.

Szofer zajął swe miejsce, zawarczał motor, samochód ruszył z miejsca i wkrótce znikł na zakręcie drogi. Znikł, lecz pozostawił po sobie uczucie zazdrości, które, jak jadowite żądło, przeniknęło do serca małej Marysi.

Straciła spokój i dawną dziecięcą radość życia. Przestała bawić się z rodzeństwem i rówieśnicami, pracę wykonywała niechętnie i tylko z musu, a wszystkie jej myśli bez przestanku snuły się koło postaci pięknej pani, wywołując coraz częstsze skargi na jej usta.

— Czemu nie jestem tą panią? — mówiła. — Jestem brzydka, mam czerwone i zgrubiałe ręce, noszę szkaradne ubranie, ciężkie niezgrabne obuwie i muszę przez cały dzień pracować. Chciałabym być piękną, mieć bogate suknie, dużo pierścieni, jeździć po świecie i nic nie robić.

Rodzice, choć bardzo zajęci, zauważyli zmianę zaszłą w usposobieniu dziewczynki.

— Coś jej się stało, może chora, może jej kto jaką krzywdę wyrządził — mówił ojciec.

— I ja coś miarkuję i w głowę zachodzę co jej być może. Możeby pójść z nią do znachorki? — martwiła się matka.

A Marysia milczała i coraz bardziej zamykała się w swej zawiści.

Tymczasem na skrzydłach wracających z za morza ptaków przyleciała wiosna i rozpostarła swój barwny płaszcz nad stęsknioną za nią ziemią. Trawki w mgnieniu oka wydobywały się na powierzchnię ziemi; pączki krzewów i drzew pękały, oswobodzając młode zielone listeczki i delikatne pierwsze kwiatuszki.

Wioska wyglądała jak wielki ogród, a chaty ginęły w białoróżowej piane rozkwitłych sadów.

Radość zeszła na ziemię i rozgościła się pomiędzy ludźmi. Jedna tylko Marysia nieczuła była na uroki budzącej się natury.

Pewnej niedzieli, gdy dziewczęta całą gromadą biegały po łące, śpiewały i plotły wianki z różnobarwnych kwiatow, Marysia samotna udała się na brzeg jeziora, znajdującego się za osiedlami ludzkiemi.

Cudnie tu było. Zielonoszara, przezroczysta tafla wód zdawała się być nieruchomą i odbijała w swej tajemniczej głębi zwisające konary nadbrzeżnych wierzb. Niezliczona rzesza skrzydlatych śpiewaków przebiegała z gałęzi na gałęź, napełniając świergotem wonne, lekko wilgotne powietrze.

Marysia nic nie widząc i nic nie słysząc szła przed siebie i ciężko wzdychała.

Wtem poruszyła się powierzchnia wód, wspięły się fale, zakotłowały wiry i cichy, melodyjny głos zapytał:

— Czemu tak wzdychasz, dzieweczko?

Marysia przystanęła i ujrzała płynącą ku sobie tajemniczą postać w długiej, białej szacie, po której spływał bogaty płaszcz złotych, jak promienie słońca, włosów.



Skarżę się, gdyż źle mi jest w domu. Pragnę być piękną, bogatą, wolną od wszelkiego trudu, a tymczasem muszę pędzić nudne, jednostajne, pracowite życie — odparła Marynia, rada, że nareszcie może wypowiedzieć swą troskę.

Wodnica podpłynęła bliżej i znów mówiła:

— Jeżeli tak bardzo pragniesz zmiany, w mocy mej jest, by zadośćuczynić twej woli. Jestem królową wód i, jeżeli zechcesz,, mogę zabrać cię do mego państwa, gdzie posiądziesz wszystko to, czego pragniesz.

Marysia z zachwytu złożyła ręce i zdawała się połykać każde słowo wodnicy. Ta zaś ciągnęła:

— Zanim ostatecznie zdecydujesz się na towarzyszenie mi do mego pałacu, musisz się głęboko zastanowić. Widzisz, dziecko, kto raz przestąpił granice mego państwa, dla tego niema już powrotu. Nigdy więc nie ujrzysz ani rodziny twej, ani

wioski, ani nieba, ani słońca. Czy wobec tego chcesz iść ze mną?

— Zabierz mnie, pani, zabierz! — prosiła Marysia.

Wodnica wyciągnęła ku niej ramiona, otuliła ją swą śnieżną szatą i zniknęły pod zieloną powierzchnią jeziora, pozostawiwszy po sobie tylko lekkie drżenie poruszonych odmętów.

. . . .

Pałac królowej wód wielki był i wspaniały. Składał się z niezliczonej ilości obszernych sal o zwierciadlanych ścianach i pięknych sprzętach.

— Wszystko to jest twoje — mówiła królowa, oprowadzając Marysię po pałacu. W tej komnacie masz tyle sukienek, ile jest dni w roku, a do każdej z nich znajdziesz odpowiednie przybranie ze złota i drogich kamieni. Gdy zapragniesz jeść, niewidzialna służba moja na twe skinienie dostarczy ci najlepsze potrawy. Rusałki śpiewem swym zabawiać cię będą, a gdy sen zechce stulić twe oczy, spoczniesz na szczerozłotem łóżeczku, zasłanem płatkami nigdy niewiędnących róż.

Mówiąc te słowa, królowa dotknęła Marysię swą czarodzieiską pałeczką i zniknęła.

Dziewczynka spojrzała w zwierciadło i aż krzyknęła z radości. Królowa mocą swą uczyniła ją piękną, stokroć piękniejszą od nieznajomej podróżnej.

Szczęście Marysi nie miało granic. Zmieniała suknie, stroiła się w naszyjniki, bransolety, łańcuchy i pierścienie i niezmordowanie podziwiała w lustrze swoje odbicie.

Aż nadszedł czas, gdy ciągłe upiększanie i zachwycanie się sobą zaczęło ją nudzić.

— Czy warto być piękną, gdy nikt nas nie podziwia? — zapytała sama siebie.

I przestała stroić się, wiedząc, że nikt na nią nie potrzy.

Jednocześnie zaczęła ją męczyć bezczynność i samotność, aż wreszcie pewnego razu obudziła się z twarzą zalaną łzami.

— O pani, o królowo! — zawołała z rozpaczą — zlituj się nade mną.

Zadrżały posady podziemnego pałacu i z czarnej mgły, która nagle przysłoniła wszystko, wyłoniła się postać królowej. Szaty jej były ciemne i tylko trzymana w ręce pałeczka świadczyła o jej władzy.



— Wzywałaś mnie? — zapytała surowo.

— O pani, pozwól mi wrócić do domu, do ludzi, do wioski, do słońca!...

— Czyż nie uprzedzałam cię, niewdzięczne dziecko, że, idąc za mną, stracisz bezpowrotnie wszystko, co zostawiłaś za sobą. Nie chciałaś zrozumieć, że szczęście prawdziwe znajduje się tylko w miłości ludzkiej, pracy i spełnianiu obowiązków. Lituję się jednak nad twą młodością i, nie mogąc zupełnie wypuścić cię

z mego państwa, pozwolę ci choć zdaleka patrzeć na twych najbliższych i na słońce.

I znów pałeczka dotknęła ramienia dziewczynki, zamieniając ją w cudny, śnieżno biały nenufar, chwiejący się na długiej zielonej łodydze. Wyrastał on na niezmierzonej głębi, wśród tak zawrotnych wirów, że nie mógł być zerwany nawet przez najdzielniejszych wioślarzy.

Patrzyła więc Marysia na życie wioski, daleka, obca, niepoznana...

A gdy księżycowa, srebrna poświata ogarniała jezioro, pochylały się nad nią trzciny i tataraki i szumiały przeciągle i żałośnie:

— Jesteś piękna, piękna, podziwiana, lecz szczęście twe na wieki zagasło!



NOWA SUKIENKA

Kupiła mama jasną wełenkę na sukienkę dla Hani i obiecała ją uszyć na Wielkanocne Święta. Dziewczynka bardzo była zadowolona, gdyż prócz szkolnego mundurka nie miała żadnej porządnej sukienki. Tymczasem zupełnie niespodziewanie zachorowała babcia, mieszkająca u cioci i mama musiała spędzać przy niej popołudnia. Minęło dni kilka. Gdy babcia wyzdrowiała, był już wielki tydzień i zaczęły się przedświąteczne porządki. Choć mieszkanko było małe, bo tylko pokój z kuchnią, mama miała bardzo dużo do roboty i nie mogła zabrać się do szycia sukienki.

Hania wciąż myślała o tem i kilka razy coś napomknęła mamie.

— Bądź spokojna, moje dziecko, napewno zrobię ci sukienkę na święta — mówiła mama.

Upiekła mama ciasto, przygotowała różne mięsiwa i wreszcie wieczorem w wielki piątek zabrała się do krajania sukienki.

Hania poszła spać, a mama napewno długo w noc siedziała przy igle, gdyż nazajutrz rano sukienka bardzo posunęła się naprzód.

Było wyjątkowo słunecznie i ciepło. Hania z koleżanką była na grobach w kilku najbliższych kościołach, a gdy powróciła do domu, zastała mamę szyjącą nową sukienkę.

W mieszkaniu było czysto, miło i unosiła się woń świeżego ciasta i pieczonego mięsa.

Hania zbliżyła się do stołu i z ciekawością przyglądała się pracy mamy. Roboty przy sukience było jeszcze bardzo dużo. Trzeba było uszyć całe rękawy, kołnierzyk, pasek i wszystko wykończyć... napewno dnia nie starczy i nocy kawałek zarwać wypadnie.

Podnosi Hania spojrzenie od materjału i patrzy na twarz szyjącej mamy. Uderza ją niezwykła bladość policzków i oczy zapadnięte, otoczone sinawą obwódką. Dziewczynce robi się dziwnie smutno; rozumie doskonale, że choroba babci i nadmierna praca przed świętami bardzo zmęczyły i wyczerpa-

ły mamę. A tu jeszcze to pospieszne, terminowe szycie sukienki!

Hania myśli z natężeniem; zmarszczyła ciemne brewki i silnie zacisnęła usta.

Nagle twarzyczka jej rozjaśniła się, na wargach zjawił się lekki uśmiech. Podeszła do matki, lewą ręką objęła ją za szyję, a prawą wysuwała trzyzmaną robotę.

— Połóż to szycie, mamusiu, — mówiła serdecznie — przecież ja doskonale mogę się obejść bez nowej sukienki, na ulicę wychodzę w płaszczyku, a w domu mundurek jest jeszcze bardzo dobry; oczyszczę go trochę wieczorem, włożę nowy kołnierzyk i doskonale wyglądać będę. Tatuś napewno nie zauważy nawet, że jestem w starej sukience.

Mama długo nie dała się przekonać, mówiła o wizycie u cioci, lecz Hania postawiła na swojem i sama schowała robotę do szafy.

— A teraz, mamusiu, proszę się prędko ubrać, pójdziemy przejść się trochę, wiosna już przyleciała, a ty, matuś, już od kilku dni nie byłaś na powietrzu.

Wyszły, trzymając się za ręce. Na ulicach snuły się tłumy przechodniów, załatwiających ostatnie przedświąteczne sprawunki. Na rogach sprzedawano fiołki i przylaszczki.

Szła Hania z mamą, przytulona do jej ręki i pełna wielkiej, serdecznej radości. Od czasu do czasu zamieniały czułe, serdeczne spojrzenia.

Hania była tak zadowolona, jakby miała na sobie najpiękniejszą nową sukienkę.





PISANKI

Było to w Wielkim tygodniu. Następnego dnia miały się skończyć lekcje, więc dzieci naradzały się nad tem, co ofiarować Pani na Wielkanoc.

— Kupimy duże, czekoladowe jajko!

— Lepiej kwiatek w doniczce.

— Ani jedno, ani drugie, bo przecież Pani zapowiedziała, że nigdy nie przyjmie od nas prezentu, na który wyciągalibyśmy od rodziców pieniądze — rzekł Felek.

— Więc co? Więc co?

— Niech każde z dzieci zrobi dla Pani pisankę, a jutro damy je wszyscy razem — radziła zawsze pomysłowa Andzia.

Projekt ten został przyjęty jednogłośnie.

Nazajutrz rano tekturowe pudełko od bucików, które przyniosła Andzia, napełniło się różnokolorowemi jajkami. Śmieszne to były pisanki: czerwone, zielone, żółte, niektóre

były pomalowane farbami, na innych dzieci kredkami wyrysowały różne cudaki i kropki. Najlepszy rysownik Antoś wyrysował piórkiem dziewczynkę, zajączka i kurczątko.

Gdy Pani weszła do klasy i zobaczyła stos pisanek, uśmiechnęła się i pytający wzrok podniosła na klasę.

— To my wszyscy zrobiliśmy te pisanki dla Pani — mówiły jednocześnie dzieci.

Pani była bardzo wzruszona — nie mogła nie przyjąć tego zbiorowego i tak serdecznie ofiarowanego jej daru.

— Dziękuję wam bardzo — rzekła.

Wtedy wszystkie dzieci rzuciły się ku Pani po należne im podziękowanie. Pani uścisnęła najbliżej stojące, pogłaskała inne, uśmiechnęła się do wszystkich i rzekła:

— Idźcie, dzieci na swoje miejsca, ponieważ to ostatni dzień nauki przed świętami, zamiast lekcji opowiem wam coś ciekawego.

Rozbiegła się gromadka i zajęła wyczekujące pozy.

Historja była długa, ciekawa i prawdziwa.

Gdy dzieci opuściły szkołę, Pani zamyśliła się, co zrobić z pisankami.

Potem wyjęła pisankę Antosia, owinęła ją starannie najpierw w papier, potem w chusteczkę i wsunęła do swej teczki; pudło zaś zawinęła w gazetę i zawiązała sznurkiem.







W godzinę potem była już Pani w domu wychowawczym R. T. P. D., gdzie znajdowały się również małe kilkoletnie dzieci.

Pani rozwinęła paczkę i pokazała maleństwom różnobarwne pisanki.

Wyciągnęły się drobne rączki, błysnęły oczki.

Pani rozdała jajeczka dzieciom i jeszcze dwa się zostały.

Wychowawczyni położyła je na stole, obiecując je dać najgrzeczniejszym dzieciom.

A Pani z rozrzewnieniem patrzyła na malców i była bardzo szczęśliwa, że serdeczny odruch jej wychowanków, sprawiając jej wielką przyjemność, dał również chwilę zadowolenia najmłodszym wychowankom Domu dziecka.

BIAŁE KOTY ZIMY

Słyszała teraz Elżbietka wyraźnie jak czyjeś, niewidzialnę w nocnej pomroce, ręce ustawiają tuż pod jej oknem przedziwne, muzyczne instrumenty, jak niemi pobrzękują, jak je stroją... Przysunęła się bliziuteńko do okna, by nic z melodji, która się tu z niewiadomo czyich palców wyprzędzie, nie uronić, a już czas był, bo brzękły wraz kryształowe struny i rozśpiewały się w powolnej, kołyszącej gędźbie:

Za siedmioma rzekami,
Za siedmioma górami
Mieszka Zima królowa
Mroźna, groźna, surowa,
W wielkim zamku, co w lodzie kowany.
Przy królowej zaś straże,
Jak powinność im każe,
Pełnią dziwne, przedziwne dworzany.
Każdy łapek ma cztery,
A z brylantów ordery
I w futerko jest białe odziany.
Kiedy sierść się wyleni
Złotym drogom Jesieni,
Że odchodzą do nikąd bez słowa,
Białe ludziom śle koty
na zabawy i psoty,
Zima, mroźna, wspaniała królowa.
Więc choć czas jej też minie
I po kotach ślad zginie,
Pamięć o nich się w mieście zachowa.

Roześmiana Elżbietka klaskała w ręcei ciągle wołała: bis! bis! Aż wreszcie i jej udzielił się zapał kotów, bo odrzuciwszy kołderkę zaczęła jak szalona skakać na jednej nodze i wyśpiewywać:

Białe koty tańcowały
Jeden duży, drugi mały,
Jak ten mały zamiauczał,
To ten duży zaraz mruczał!

Niewiele miała sensu ta piosenka, ale i Elżbietce i kotom tak się podobała, że śpiewali ją wspólnie do białego rana.

Dlatego to Elżbietka obudziła się później niż zwykle i była bardzo niewyspana. Ziewając ubierała się i myła, ziewając jadła śniadanie i ziewając wyszła do szkoły.

Skoro tylko jednak znalazła się przed domem, stanęła jak wryta: z dachu i z okapów okiennych zwieszały się lśniące, przezroczyste dzwoneczki kryształowe, szklane cymbałki, skrzypeczki srebrzyste i dziwne harfy o skrzących, popękanych strunach.

Ranne słonko przebierało po nich w zamyśleniu złotemi palcami dobywając z ich wnętrz oślepiające, lecz niesłyszalne melodje. Pod dotykiem jednak gorących rąk słońca jęły one zmieniać swoje kształty, wydłużały się, przezroczyściały coraz bardziej i bardziej, aż wreszcie rozgrzane do białości stopiły się i stajały jak zwyczajne sople. A białe koty Zimy, najwidoczniej o instrumentach owych zapomniawszy spały jak susły.

(C. d. n.)